

Wywiad z Kazimierzem Pieńkiem

Gdzie Pan się urodził, z kim Pan mieszkał w dzieciństwie?

Urodziłem się w Warszawie i tam za czasów powstania mieszkałem z rodzicami. Czwórka nas była, miałem dwie siostry i brata. W zasadzie zajmowaliśmy pokój z kuchnią, drugi babcia miała dla siebie. Mieszkaliśmy przy pl. Trzech Krzyży, a później przeprowadziliśmy się na ulicę Browarną.

Kim byli Pana rodzice?

Mój ojciec był kuchmistrem, a mama zajmowała się nami.

Jak pamięta Pan swoje dzieciństwo?

Dobrze było. Tatuś pracował to dość dobrze zarabiał, bo jeździł, jako kuchmistrz na wagonach restauracyjnych. To była wówczas firma francuska. Później tatuś stracił tę pracę i jeździł na Batorym, też jako kuchmistrz. Później wybuch wojny - 1939 rok, mieszkanie zostało zniszczone, a myśmy się rozdzielili. Mieszkałem w Zielonce, blisko Warszawy i stamtąd dojeżdżałem na praktykę.

A co ze szkołą?

Dokumentów ani pamiątek żadnych nie mam z tego okresu, bo to wszystko w czasie powstania zostało zniszczone, wypalone doszczętnie.

A ile klas Pan skończył?

Siedem klas. To była szkoła powszechna, numer 34, ulica Dobra. Potem wstąpiłem na praktykę w swoim zawodzie – fryzjerstwie – to było w 1940 roku. Trzy lata później zdałem egzamin czeladniczy. Zamieszkałem wtedy z bratem przy ulicy Senatorskiej, a później wybuchło powstanie.

I wtedy zgarnęli Pana do obozu pracy...

Tak. Zwyczajnie po prostu wszystkim kazali wyjść z mieszkań, popędzili na taką zbiórkę i zaprowadzili nas tam na Wolę na taki plac przy kościele. Potem na drugi dzień rano na dworzec, wsadzili nas do pociągów i zawieźli do Pruszkowa.

Zawieźli w wagonach towarowych?

Tak, wagony były zamknięte, jak takie, co by było wożą czasami. W Pruszkowie nas wypuścili i po chwili powrotem wsadzili do pociągu i przywieźli do Sułkowic (dzisiejsze Sołtysowice – jedno z wrocławskich osiedli – przyp. red). Obóz nazywał się Burgweide.

Pamięta Pan widok tuż po wyjściu z pociągu?

Było dużo baraków. Tam koło cukrowni. Teraz chyba jeszcze kilka zostało, byłem tam parę lat temu zobaczyć jak to wygląda. Były też wieżyczki tych, co nas pilnowali i były takie podwójne odrutowania. Nie można było się do nich zbliżyć. To był taki przejściowy obóz.

Później przeprowadzili nas na ulicę Magazynstrasse, obecnie ona się nazywa Składowa.

Stamtąd chodziliśmy, to znaczy wyprowadzali nas na targ, gdzie przychodzili z różnych zakładów ludzie i wybierali sobie nas do pracy. Ja zostałem wybrany do pracy w Pafawagu - to nazywało się za Niemców Linke-Hofmann-Werke.

Jak wtedy wyglądała codzienność?

Byliśmy skoszarowani tu przy ulicy Fiołkowej. Tu spaliliśmy, była tu też stołówka i łaźnia. Można było prysznic wziąć. I stąd chodziliśmy piechotą do tej fabryki właśnie. Pobudka była o 5.00. Chodził taki, co na trąbce grał. O 6.00 zaczynała się praca, na trzy zmiany była. Potem się przychodziło na jakąś zupę „pluj” czy inną „wassersuppe”.

A co potem?

Tu nie było tak źle. Można było przebiegać między tymi barakami, nawet można było wyjść niekiedy też, ale ze znaczkami „P” w kłapie. Szedłem wtedy w cywilnym ubraniu, ale musiałem mieć ten znaczek. Nie miałem numerka jak więźniowie.

Jak wyglądała przestrzeń w środku obozów?

To były takie sztuby, stały dwa łóżka, piecyk żelazny, w którym się paliło węglem. Jakoś przebidowało się.

A to był duży obóz?

Nie, tu niewiele było osób.

Ale nas potraktowali łagodnie, myśmy dostali sztuby na dwa małżeństwa. A ja z żoną jeszcze wtedy nie byliśmy małżeństwem. Powiedzieliśmy, że żona zgubiła dokumenty i nam się udało – mogliśmy mieszkać razem w czworo, razem z takim małżeństwem.

Ale były inne sztuby i piętrowe łóżka. Tam się spało jeden na górze, drugi na dole, tak do dwudziestu osób. Sztuby były niby większe, ale osób było też dużo więcej, ciasno.

A święta? To samo jedzenie, ta sama codzienność?

Człowiek nawet nie myślał o świętach.

Czyli życie z dnia na dzień?

Tak. Nadzieja zawsze jakaś jest, ale kto przypuszczał, że pokonają tych Niemców. Przecież to taka potężna armia była, aż po Stalingrad. Ale później trochę dostali.

A co, jeśli ktoś był chory?

A był tam lekarz. Jak ktoś był chory to szedł, dostawał zwolnienie i zostawał w baraku, w tej sztubie. Jak już doszedł do siebie, albo i nie, to przy drugiej wizycie lekarz mówił, że „już jesteś zdrow, do roboty”.

Tu była mieszanka ludzi: Włosi, Francuzi i my. Niektórzy się przykrywali kocami. Zima była okropnie zimna. Chodziliśmy w tych drewniakach, co nam dali na początku, śnieg się przyczepiał, ciężko było iść. Trzeba było nadażać, chodził człowiek jak kulawy.

Co należało do Pana obowiązków w Pafawagu?

Przeszkolili mnie na takiego spawacza. To się nazywało po niemiecku Brennarbeiter. Takie stalowe grube palniki ciąłem. Takie wycinanki robiłem ze stalowej płyty według wielkiego szablonu. Takie części do czołgów, czy nie wiadomo, do czego to było. Ten zakład był zbrojeniowy. Trzeba było uważać, żeby nie podpaść, żeby nikt nie widział, że się stoi i nic nie robi. Trzeba było zawsze się gdzieś krzątać.

Inaczej kara?

Kary to były paskudne. Od razu, jak który tam podpadł to prosto do obozu Gross- Rosen wysyłali. Jak tylko złapali kogoś, kto spał albo wynosił coś, to były kary bardzo surowe. Trzeba było uważać. Był człowiek zmęczony tymi nocnymi zmianami, ale trzeba było uważać, lewym okiem na robotę patrzeć, prawym czy ktoś nie idzie. Jakoś dałem radę te miesiące przebidować.

Ile Pan miał wtedy lat?

Dwadzieścia.

Nawiązał tam Pan jakieś przyjaźnie?

Tak. Między sobą tak, ale nic nie przetrwało. Każdy potem pojechał w inną stronę.

Pamięta Pan dzień, w którym wydostał się Pan z obozu?

Ja wyszedłem z przepustką po prostu. Nikt się mnie o nic nie pytał. Myśmy wtedy skorzystali, odłączyliśmy się od całej grupy, pojechaliśmy na własną rękę. Ja ewakuowałem się wraz z kobietami.

Był wtedy okropny bałagan. Niemcy uciekali. Pociągi specjalnie były podstawiane dla tych, co się ewakuowali. Nawet nie sprawdzali czy ktoś ma bilet czy nie. Myśmy tak bez biletu na drugi koniec Niemiec zajechali. Dopiero na ostatniej stacji bilet kupiliśmy tylko po to, by nas z tej stacji w ogóle wypuścili.

Co było dalej?

Zatrudnili nas. Ja, jako Arbeitstelle, taki robotnik, a kobiety poszły pracować do kuchni. Trwało to do maja – do wyzwolenia.

Kiedy Pan dowiedział się, że Polska jest wyzwolona to...?

To chcieliśmy wracać. Ale nikt nie przypuszczał, że Warszawa będzie tak zniszczona. Jak mnie stamtąd wyprowadzali, dzielnice nie były ani spalone, ani zniszczone, ani nic.

Mnie, co prawda wcześniej wyprowadzili z Warszawy, ale pamiętam, że było paskudnie, bo to po drodze była strzelanina. Powstańcy strzelali do Niemców, Niemcy znowu do powstańców.

Niemca jednego trafili to później z szeregu ludzi wyciągali, stawiali nad takim dołem i rozstrzeliwali. Straszne to było.

Cały czas ręce do góry. Tak trzeba było od ogrodu Saskiego aż po Wolę pionowo trzymać, to ręce mdleją przecież. Ja jak chwilkę tylko lekko opuściłem, to jak podszedł i mi rąbnął karabinem to dłuższy czas mnie bolało.

Czyli opuścił pan Niemców i pojechał Pan do...?

Pojechaliśmy do Szczecina. Tam dostałem bilet do Warszawy. A potem w Gliwicach się zatrzymałem. Tam dostałem propozycję przyjazdu tu do Wrocławia, do pracy w moim zawodzie. Ze związku zawodowego akurat mieli etat. Skorzystałem i mieszkam teraz tu - właśnie blisko tego

obożu.

Mieszkaliśmy wraz z żoną. 51 lat przeżyliśmy razem – jako małżeństwo, bo jako nie małżeństwo jeszcze więcej.

Może Pan opowiedzieć jak pamięta Pan Wrocław tuż po wojnie?

Wszystkie domki wokół Rynku były wypalone. Został tylko bank i ten budynek na rogu – Feniks, reszta kamieniczek była powypalana. Masę pracy wszyscy włożyli, żeby to wyglądało tak jak wygląda.

Teraz jest pięknie, Świdnicka żeby w ogóle istniała wyburzono domy. Teraz jest fajnie, tak dużo kawiarenek, można posiedzieć.

A czy mógł Pan liczyć na jakiegokolwiek zadośćuczynienie ze strony Państwa?

No przecież dostałem sto złotych jak przyjechałem. Na bilet na Pragę ze Szczecina. No i teraz dostaje tam jakiś dodatek kilkudziesięciu złotych do emerytury (śmiech). Zostaliśmy w czasie wojny internowani, po wojnie jakaś jedna torba z całym dobytkiem, wszystko trzeba było samemu od początku życie rozpoczynać.

Zdecydował się opowiedzieć Pan o swojej historii mimo towarzyszącego żalu, smutku...

...było minęło, nie ma, co się użalać nad tym. A co będzie dalej, to nigdy nie wiadomo. Człowiek nigdy nie przypuszczał, że da się tych Niemców poskromić, odzyskać Polskę. Trudno było uwierzyć w to. Nic nie ma wiecznego.

Teraz wszyscy kombinują by nie było nienawiści między narodami, żeby to wspólne życie sobie jakoś poukładać, żeby nie było wojen. Bo to jest tragedia.

Teraz też ta historia jest troszkę zakłamaną. Co chceć mówić, ale żeby nie armia radziecka, to byśmy tej naszej Polski nie mieli.

Rozmawiała: Katarzyna Snopkiewicz